

MAŁGORZATA ZIELIŃSKA

# MÓJ KAPITAN



LIRA  
WYDAWNICTWO

Od decyzji powstańczego dowódcy zależy  
życie żołnierzy i kobiety, którą kocha...

MAŁGORZATA ZIELIŃSKA

# MÓJ KAPITAN

MAŁGORZATA ZIELIŃSKA

# MÓJ KAPITAN

L i R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68817-48-5

*Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,  
Ale w innym sadzie, w innym lesie, —  
Może by inaczej zaszumiał nam las,  
Wydłużony mgłami na bezkresie...*

Bolesław Leśmian

# PROLOG

Wdech... Wydech... Wdech... Wydech... Oddychaj... Byłe oddychać...

Ściana była śliska. Sunąłem po niej dłonią, jakbym w ciemności badał jakieś niewidoczne dla oka, tajemnicze symbole wyrysowane na ceglanych połaciach. Te miejscami były pokryte obrzydliwą, lepką mazią, która zostawała mi na palcach i wywoływała wstręt.

Wdech... Wydech...

Woda była wszędzie. Kapała z sufitu, wlewała się pod koszulę, do butów, do spodni. Jedyne, co czułem, jedyne, co słyszałem, to woda. Była zimna — tak potwornego chłodu nie doświadczyłem jeszcze nigdy. Strumień raz był powolny, raz wartki. Posuwałem się ostrożnie tuż przy ścianie, starając się utrzymać równowagę.

Wdech... Wydech...

Ciemność... Ciemność rozciągała się przede mną jak płachta. Miejscami nie widziałem, gdzie jestem i co mam przed sobą. Wydawało mi się, że prowadzę tych wszystkich ludzi wprost w bramy piekielne. Bo to było piekło — piekło na ziemi.

Wdech... Wydech...

Światło wjazdu kanalizacyjnego już dawno zostało gdzieś w tyle. Momentami tylko nad naszymi głowami pojawiały się pojedyncze kratki ściekowe, przez które widać było świat. Te jednak należało omijać szerokim łukiem. Gdyby Niemcy się zorientowali, wrzuciliby do środka granaty. Wypuszczenie zwiadowcy z latarką też było zbyt ryzykowne. Zdecydowałem się iść pierwszy — jak dowódca, jak kapitan.

Wdech... Wydech...

Niemcy z pewnością byli nad nami. Słyszałem ich... Słyszałem ich głosy. Czasami na dół docierały dźwięki kroków, które zmuszały nas do zastygnięcia w zimnej wodzie na parę minut i oczekania, aż właściciel butów ze skórzaną cholewką i podkutym obcasem się oddali. Czasami śmiechy i głośnie rozmowy. Byli tam, dobrze się bawili. A my skradaliśmy się kanałami tuż pod ich stopami — jak szczury.

Wdech... Wydech...

Tak, jak szczury. Te, które przez ostatnie pięćdziesiąt lat stanowiły jedynych mieszkańców podziemnych korytarzy. Mimo iż warszawskie kanały istniały już przeszło pół wieku, nigdy jeszcze nie słyszałem, by ktokolwiek korzystał z nich w ten sposób. To my pierwsi naruszyliśmy szczurze królestwo. My, powstańcy, zbyt słabi na otwartą walkę, zbyt słabi, żeby bronić naszego miasta, naszej stolicy.

Wdech... Wydech...

Ciała naszych zmarłych kolegów dryfowały obok nas jak w zaklętym śnie — posiniałe i częściowo nadjedzone przez szczury. Truchła małych zwierząt i wszelkiego rodzaju nieczystości płynęły z nurtem, ocierając się o nasze sylwetki. Gdzieś zza moich pleców dobiegał cichy szloch. To któraś z dziewcząt łkała. Nie miałem jej tego za złe. W takich warunkach niełatwo było trzymać nerwy na wodzy. Ludzie tracili tu rozum, odbierali sobie życie w tych kanałach. Ja sam z początku ledwo powstrzymywałem łzy, widząc pływające zwłoki z białą-czerwonymi opaskami na przedramionach. Ci wszyscy młodzi ludzie, dzieci rzucone na pastwę wojennej zawieruchy, już nigdy nie zaznają spokoju, nigdy nie zostaną pochowani. Matki i ojcowie nigdy nie dotrą na ich groby, by zapłakać nad losem swoich pociech.

Wdech... Wydech... Wdech... Wydech...

Smród od samego początku był nie do opisania. Potworny. Obezwładniający. Wdzierał się przez nozdrza i zatruchiwał ciało od środka. Staralem się zasłaniać twarz kawałkiem ubrania, lecz przerażający fetor i tak przez cały czas wypełniał mój nos. Mimo to byłem jednym z nielicznych, którzy do tej pory nie zwymiotowali gdzieś po drodze. To nie czas ani miejsce na odrazę. Trzeba iść dalej. Trzeba się trzymać.

Wdech... Wydech...

Na początku nie było jeszcze tak źle, poziom wody sięgał zaledwie kolan. Brodziliśmy w tej mrocznej otchłani, od czasu do czasu czując tylko jakieś dziwne smaganie w okolicach stóp. Dopiero później sytuacja uległa zmianie, kiedy mijaliśmy kolejne identyczne korytarze, a woda stopniowo się podnosiła. W pewnym momencie sięgnęła do ramion.

— Do góry broń... — syknąłem i sam uniosłem mojego Visa ponad głowę. Nie mogłem pozwolić, aby woda zalała mechanizm. Ten pistolet był dla mnie wszystkim. Bez niego nie miałbym czym walczyć, należało go chronić za wszelką cenę. Po szmerze wody za moimi plecami poznałem, że reszta zrobiła to samo.

Wdech... Wydech... Wdech... Wydech... Oddychaj... Musisz oddychać... Inaczej umrzesz... Jeszcze raz... Jeszcze jeden wdech...

Starając się trzymać emocje na uwierzy, sunąłem po ścianie śliskiej jak wąż. Mroczna otchłań tunelu rozciągała się przede mną bez końca — otchłań obłądu. Powietrza było tu jak na lekarstwo. Czułem to po ciężarze w okolicach klatki piersiowej. Modliłem się w duchu, żeby reszta wytrzymała, żeby nie powpadali w panikę. Histeria jednego oznaczałaby śmierć nas wszystkich.



Nagle gdzieś z tyłu usłyszałem gwałtowny plusk, a serce niemalże wyskoczyło mi z piersi. Zastygłem w miejscu, wyczekując na rozwój wydarzeń. Ktoś się potknął, zahaczył o coś nogą. To „Pchelka”, ten dzieciak, który dołączył do nas na Starówce. Był najniższy, miał dopiero dwanaście lat. Pewnie musiał iść na palcach i unosić brodę, żeby woda go nie zalała. Reszta natychmiast się rzuciła, żeby go przytrzymać. Pewnie, gdyby nie ich interwencja, biedak wpadłby do wody po same uszy.

— Wszyscy są? — rzuciłem zapobiegawczo. Odpowiedziały mi ciche szepty. Ale nie ona. Jej głosu nie słyszałem.

Serce momentalnie podeszło mi do gardła. Przecież szła za mną, widziałem jej twarz, kiedy przechodziliśmy pod kratką ściekową. Czy na pewno wciąż tam była? A może odłączyła się gdzieś po drodze?

Targany emocjami, rzuciłem szybkie spojrzenie przez ramię. Zobaczyłem ją niemalże na samym końcu, pomiędzy tą rudą dziewczyną z warkoczami a chłopakiem, któremu odłamek rozerwał ucho. Nie widziałem jej twarzy, jedynie fragment niebieskiej sukienki, którą miała na sobie. Trzymała swoją torbę sanitarną wysoko ponad głową, chroniąc ją przed wodą.

Kamień spadł mi z serca, a oddech zaczął powoli wracać do normalnego rytmu. Teraz znów mogłem się na nim skupić. Znów zacząć oddychać... Prędko odtworzyłem w myślach mapę warszawskich kanałów, którą studiowaliśmy z porucznikiem „Chojnickim” jeszcze przed rozpoczęciem ewakuacji Starówki. O ile mnie pamięć nie myli, za najbliższym zakrętem powinien być już widoczny właz.

Wdech... Wydech... Wdech... Wydech...

Skręciliśmy w kolejny korytarz, kierując się teraz bardziej na zachód. Poziom wody nieco tu zmaleł, za to tunel zrobił się o wiele niższy. Przez długi czas musiałem iść zgarbiony, żeby nie uderzyć czołem o sklepienie. Czulem się taki mały, a jednocześnie taki wielki, bo nie mieściłem się w tych ciasnych korytarzach.

Wdech... Wydech... Wdech... Wydech...

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jakie to potworne uczucie, kiedy człowieka ogarnia coraz większa panika. Strach zalewa go od stóp do głów, wręcz paraliżuje. I ma się ochotę jedynie biec na oślep przed siebie, zaklinać świat, błagać go, żeby pomógł wydostać się z tej śmiertelnej pułapki... A jednak nie wolno okazać choćby cienia niepokoj. To było moje zadanie. Moja rola. Mimo pływających wokół ciał i szczurów przebiegających mi po nogach musiałem zachować spokój. Byłem wzorem dla tych wszystkich ludzi. Prowadziłem ich. Nie mogłem sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Moje potknięcie kosztowałoby nas wszystkich życie.

Nagle pod nogami wyczułem stopień i byłbym stracił równowagę, gdyby nie „Julek”, idący za mną.

„Julek”, osiemnastolatek. Kilka dni temu miał urodziny. Nasz najlepszy strzelec — chwalił się, że ma swojego Mausera jeszcze po ojcu — a jednocześnie największy chojrak, jakiego świat widział. Zawsze pierwszy na barykadzie, pierwszy w szeregu i chętny do walki. Gdyby mógł, rzuciłby się na Niemców z gołymi rękami.

— W porządku? — usłyszałem jego głos. Kiwnąłem głową, choć w tunelu było zbyt ciemno, by „Julek” to zobaczył. Przytrzymał mnie w ostatniej chwili. Bez jego szybkiej interwencji wpadłbym do wody.

— Uwaga... — ostrzegłem cicho resztę. Sam starałem się wymacać nogą stopnie. Natrafiłem na jeszcze dwa. Ruszyliśmy gęsiego ciemnym korytarzem, uważając, by stukot naszych butów o posadzkę nie narobił zbyt wiele hałasu.

W tym momencie go dostrzegłem — właz! Bijące od niego nikłe światło było jak znak zesłany z niebios, jak promyk ostatniej nadziei, jak otrzymanie jeszcze jednej szansy na życie. Reszta też go dostrzegła. Za plecami słyszałem ich coraz szybsze i donośniejsze kroki. Każdy przebierał nogami, pragnąc znaleźć się już przy drabinie. Celowo zwolniłem, by wyhamować ich entuzjazm. Najpierw należało się upewnić, czy gdzieś po drodze nie pomyliliśmy drogi, czy rzeczywiście dotarliśmy do odpowiedniego włazu.

W końcu spocony, skulony i oblepiony wszelkimi nieczystościami dowlókłem się do drabinki. Ostatnie kroki stawiałem już na palcach. Gdyby się okazało, że nad nami są Niemcy... Nie mogłem pozwolić, aby nas usłyszeli. Właz był otwarty. Oczami wyobraźni widziałem czekających na górze i wiwatujących na naszą cześć mieszkańców Śródmieścia. Najbardziej na świecie pragnąłem być już wśród nich, odpocząć przez chwilę, może nawet znalazłoby się coś do jedzenia. Albo woda... Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz piłem wodę.

Podszedłem do drabinki, lecz niespodziewanie w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Coś kazało mi zastygnąć w miejscu, a moja osłabiona chwilowo czujność nagle się wyostrzyła.

Gdzie inni powstańcy, którzy powinni czekać już na nas przy włazie? Dlaczego było tak cicho? Przecież mówili, że w Śródmieściu nie ma jeszcze Niemców, że ludzie żyją tu w miarę normalnie, jakby nie było żadnego powstania. Coś ewidentnie było nie tak.

Co robić... Co robić...

Dałem znak „Julkowi”, a chłopak natychmiast mnie wyminął. Gestem ręki pokazałem pozostałym, żeby się cofnęli. W świetle bijącym z góry widziałem ich pełne napięcia i wyczekiwania spojrzenia. Brudni, zmęczeni, wymizerniali, z twarzami oblepionymi błotem, wyglądali jak nędzarze, którzy przed wojną okupowali warszawskie rynsztoki. Dostrzegłem też ją. Nasze spojrzenia na moment się spotkały. Miałem ochotę dać jej jakiś znak, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, lecz chyba sam zbyt w to nie wierzyłem.

„Julek” bezszelestnie prześlizgnął się do drabinki. Położył stopę na pierwszym szczeblu. Starając się nie wydać żadnego dźwięku, wszedł na górę. Trwało to całą wieczność. Każda sekunda była minutą, każda minuta — godziną.

Wreszcie z góry dobiegł mnie jego młodzieńczy głos.

— Czysto.

Odetchnąłem z ulgą. Ruszyłem do przodu, pragnąc czym prędzej wydostać się z tych przeklętych kanałów.

Wtedy nad moją głową rozległ się krzyk. A potem seria strzałów. Zamarłem, nie byłem w stanie się poruszyć. Nie widziałem nic oprócz ciała „Julka”, które z hukiem przywaliło o posadzkę kanału.

Nagle... pisk! Krzyk! Seria z karabinu! Woda... chlupot wody... Niemcy!

— Wycofać się! — krzyknąłem tak głośno, na ile tylko pozwalały mi płuca. Sam rzuciłem się do ucieczki.

Uciekałem, wszyscy uciekali. Dokądkolwiek. Przed siebie. Kule świstały mi koło uszu, odbijały się od ścian kanału, raniły ludzi wokół mnie.

Potknąłem się. Coś leżało pod nogami. Ciało! Mnóstwo ciał! Seria z karabinu nie ustawała. Chciałem tylko się wydostać. Chciałem...

Granat!

Huk był niewyobrażalny. Miałem wrażenie, że coś w mojej głowie wybuchło i rozerwało ją od środka. Na moment straciłem słuch. Wszędzie wybrzmiewał pisk — przeraźliwy i ostry, który dzwonił mi w uszach. Miotałem się rozpaczliwie od prawej do lewej, objając się o ściany.

Gdzie ona jest? Gdzie ona... Musiałem ją odnaleźć! To było w tym momencie najważniejsze. Byle tylko się do niej dostać! Tylko ją ocalić! Wyciągnąć stąd! Wyciągnąć...

Pobiegłem. Nie wiedziałem dokąd. Szukałem jej. Szukałem... Nagle wpadłem na kogoś, odbiłem się, upadłem.

Woda zalała mi obraz tak gwałtownie, że do reszty straciłem rozeznanie. W jednej chwili ucichły paniczne krzyki i nawoływania, jakby ktoś jednym kliknięciem wyłączył światło. Jakies obrazy przewijały mi się przed oczami, lecz nie poznawałem nikogo ani niczego. Popadłem w całkowite odrętwienie. Nie wiedziałem, jak długo to trwało. Może sekundę... A może całą wieczność.

A więc to koniec. Tak właśnie wygląda śmierć. W końcu i do mnie odnalazła drogę. Tyle razy wcześniej miała ku temu okazję, a udało jej się to dopiero tu — w śmierdzących kanałach. Umierałem. A może już umarłem? Dryfowałem, jak te wszystkie ciała, które mijaliśmy po drodze. Byłem jednym z nich. Byłem...

I wszystko... Wszystko...

## „Stokrotka”

— „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny...”

— „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny...”

— „...Królowej Korony Polskiej...”

— „...Królowej Korony Polskiej...”

— „...kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia”.

Otworzyłam usta, lecz nie wydobył się z nich nawet najmniejszy dźwięk. Krew momentalnie napłynęła mi do policzków i rozpałała je ognistą czerwienią.

Wiedziałam, że tak będzie...

Choć przez ostatnie kilka dni powtarzałam tę formułę chyba z tysiąc razy, gdy przyszło co do czego, i tak załamał mi się głos. Moment składania przysięgi wojskowej był na tyle stresujący, że na samą myśl o nim czułam nieprzyjemny ucisk w okolicach żołądka. Nie pomogło powtarzanie tekstu na głos ani uczenie się go na pamięć. Moje nerwy sięgały zenitu.

Stojący przede mną porucznik „Kruk”, ubrany w wyswiechtany płaszcz, tak daleki od pięknych oficerskich mundurów noszonych przed wojną, widząc moje zdenerwowanie, zamilkł i czekał.

Odchrząknęłam i pośpiesznie powtórzyłam jego słowa.

— „Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej...”

— „Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczpospolitej Polskiej...”

— „...stać nieugięcie na straży Jej honoru...”

— „...stać nieugięcie na straży Jej honoru...”

— „...i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia”.

— „...aż do ofiary mego życia” — powtórzyłam nieco ciszej, starając się pojąć znaczenie tych słów.

Dotarło do mnie, że nie ma już odwrotu. Że cokolwiek od teraz zrobię, zrobię dla Polski. Do tej pory te słowa nie miały aż tak dramatycznego wydźwięku, jednak dopiero gdy wypowiedziałam je na głos, nabrały na tyle realnego znaczenia, że gdzieś w głębi serca poczułam lęk.

— „Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało”.

— „Tak mi dopomóż Bóg...” — dokończyłam, a w kącikach moich oczu zalśniły łzy.

A więc to już — definitywnie i nieodwracalnie jestem żołnierzem Wojska Polskiego.

— „Przyjmuję Cię w szeregi Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny” — recytował dalej „Kruk”. — „Twoim obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada karana jest śmiercią”.

Wpatrywałam się ze skupieniem w porucznika, chłonąc każde wypowiedziane przez niego słowo. Ręce nadal mi drżały, a w gardle czułam ścisk, jakby tkwiła tam wielka gula.

Mężczyzna dokończył formułę przysięgi i po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Gratulacje, od dzisiaj jest pani żołnierzem Armii Polskiej walczącej w konspiracji.

Serce zabiło mi szybciej. Byłam z siebie taka dumna. Kątem oka zerknęłam na Basię, która stała za moimi plecami i szczyrzyła do mnie zębami.

— Niedługo przejdzie pani szkolenie ogólnowojskowe i sanitarne — kontynuował porucznik. — Z tego, co się dowadywałam, ma pani zostać łączniczką. Jeszcze nie wiadomo, do kogo panią przydzielą, dlatego bardzo proszę pilnować skrzynek kontaktowych.

Pokiwałam gorliwie głową. Przez cały czas czułam na policzkach ognisty rumieniec.

— Zadania będzie pani otrzymywać przez obecną tu kapral „Baškę”. — Porucznik wskazał na koleżankę. — I tylko przez nią może się pani kontaktować. Na razie podlega pani rozkazom dowództwa. Jakies pytania?

Czy miałam jakieś pytania? Ba, całe mnóstwo. Po mojej głowie krążyły tysiące niespokojnych myśli. Skrajne emocje targały mną jak rozpostartym żaglem na wietrze. Od euforii po strach, od zapalczywości po zawahanie. Przede wszystkim miałam ochotę zapytać porucznika, czy dobrze robię. Czy cała ta nasza walka ma sens. Przecież nie chciałam ginąć — chciałam tę wojnę przeżyć, mieć jeszcze szansę czegoś doświadczyć, skończyć studia, założyć rodzinę. Składając przysięgę i wstępując w szeregi Armii Krajowej, wpisywałam się niejako na listę osób pierwszych do odstrzału. Czy ojczyzna naprawdę tego ode mnie wymagała?

— Nie, panie poruczniku. — W moim głosie nie było słyhać ani cienia przekonania.

— W takim razie to wszystko. — Mężczyzna szybkim ruchem uściśnął moją dłoń. — W ciągu kilku dni dostanie pani dalsze instrukcje.

„Kruk” odwrócił się. Już chciał opuścić zaplecze mokołowskiego zakładu fotograficznego, który od kilku tygodni



służył nam za punkt kontaktowy, gdy zatrzymał się w pół kroku.

— Zapomniałbym. Jaki pseudonim pani wybrała?

— „Stokrotka” — odpowiedziałam, tym razem zdecydowanym głosem.

Na ustach porucznika pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Dobrze. Proszę zatem czekać na dalsze rozkazy.

„Kruk” zerknął jeszcze na korytarz, aby sprawdzić, czy nie ma tam nikogo niepożądanego. Następnie opuścił pomieszczenie. Przez chwilę się zastanawiałam, jakby to było, gdyby przysięga miała bardziej uroczysty charakter — płaszcz porucznika rzeczywiście był galowym mundurem oficerskim, a Zakład Fotograficzny „Sykulski i Syn” odświetną salą z wywieszoną w naczelnym miejscu polską flagą.

Uroczysty czy nie, jedno było pewne — tego momentu nie zapomnę już do końca życia.

— Gratulacje! — Basia, cała w skowronkach, podbiegła do mnie. — Od teraz jesteś prawdziwym żołnierzem!

Koleżanka objęła mnie i ucałowała w policzek. Po jej minie rozpoznałam, że liczyła na podobny wybuch radości z mojej strony. Ja jednak nadal zachowywałam kamienną twarz.

— Ej, co jest? Nie cieszysz się?

— Pewnie, że się cieszę. I to jeszcze jak, ale...

— Ech, jakie znowu „ale”?

— Myślisz, że ja na pewno się do tego nadaję?

Koleżanka przewróciła oczami.

— No bo, zobacz, ani nie umiem strzelać, ani rzucać granatem, ani...

— Połowa z nas nie umie! — wykrzyknęła Basia, jakby to było coś oczywistego.

— Wojna to nie zabawa — odrzekłam moralizatorsko.  
— Ja nawet nigdy nie miałam broni w ręku. Nie wydaje ci się, że żołnierzami powinny być tylko te osoby, które faktycznie się do tego nadają? Które wiedzą, jak się zachować w trudnych sytuacjach, potrafią się posługiwać bronią...

— Och, daj już spokój. Przecież przejdiesz szkolenie, wszystkiego cię nauczą. Poza tym słyszałaś, co powiedział „Kruk”. Masz być łączniczką. Do tego nie musisz umieć strzelać.

— Ale dobrze, jakbym jednak umiała.

— Przecież nie wysyłają cię od razu na front. Na początek będziesz dostawać bardzo łatwe zadania. Jakiś meldunek do przekazania, list, dokumenty. Później, jak się sprawdzisz, będziesz przenosić inne rzeczy. Coś cięższego, większego. Broń na przykład. Ale do tego musisz mieć doświadczenie. Musisz być dobra.

— Taa... Poczekaj tylko, aż Niemcy mnie złapią. Pewnie spanikuję i wyśpiewam im wszystko jak z nut. Pseudonimy, hasła...

— Więcej wiary w siebie, dziewczyno. — Basia poprowadziła mnie ku wyjściu. — Jestem pewna, że w momencie największej próby poradzisz sobie znakomicie.

— Mhm, już to widzę. Patrol pyta mnie o dokumenty, a ja od razu pokazuję im wszystkie listy i meldunki, które mam w torbie — krakałam dalej, dając się prowadzić przez główne pomieszczenie zakładu fotograficznego. Siedzący za ladą stary pan Sykulski wyjrzał na nas zza grubych szkielek okularów, po czym niewzruszony wrócił do czyszczenia soczewki aparatu. Basia pomachała mu na pożegnanie i pchnęła mnie ku wyjściu.

Drzwi zabrzęczały sygnałem oznaczającym nadejście klienta, gdy opuszczaliśmy zakład. Zazwyczaj ruchliwa

ulica Puławska, którą Niemcy w trzydziestym dziewiątym przemianowali na Feldherrnallee — Aleję Wodzów — teraz znacznie przygasła. Ludzie pozałatwiali już swoje sprawy i pochowali się do domów, sklepy pozamykano, w oddali tylko majaczył niemiecki patrol. Nic dziwnego, dochodziła dwudziesta. Wkrótce godzina policyjna. Słońce już dawno schowało się za horyzontem. My też powinniśmy się pośpieszyć, jeśli nie chcemy skończyć na Pawiaku.

— A wiesz, jak należy się zachować w takiej sytuacji? — mówiła dalej Basia, gdy ruszyłyśmy chodnikiem w stronę przystanku tramwajowego. — Jak zatrzyma cię patrol? Musisz tylko użyć swojego kobiecego wdzięku.

— Ha, niby jak? Mam zatrzepotać rękami albo zarzucić włosami?

— Otóż to. Miałam kiedyś taką sytuację, słuchaj no tylko. Zaczepił mnie raz jeden Niemiec w tramwaju. Jechałam wtedy na Żoliborz, miałam dostarczyć peema na ćwiczenia ze strzelania. To była ulica Bonifraterska. A może Mickiewicza? Nie pamiętam. W każdym razie zauważyłam, że ten Niemiec przez cały czas się gapi na moją torbę. Od razu się domyśliłam, o co chodzi, ale przecież nie mogłam dać tego po sobie poznać. W końcu do mnie podszedł. Ze strachu myślałam, że zaraz zemdleję... I wtedy wpadłam na pewien pomysł. Pamiętam, że było bardzo ciepło, wszyscy wokół się wachlowali, to i ja zaczęłam udawać, że zrobiło mi się słabo. Że duszno i takie tam. Niemiec, no nie powiem, zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Wysiadł ze mną na najbliższym przystanku i zaoferował, że przyniesie mi wodę. Poszedł do kawiarni obok, a kiedy wrócił... — Basia rozłożyła ręce. — Mnie już nie było.

— To musiał być bardzo, bardzo naiwny Niemiec — powiedziałam, podkreślając słowo „bardzo”.

— Sama zobaczysz, że tacy zdarzają się dość często. Zwłaszcza gdy mają do czynienia z pięknymi Polkami. — Basia zarzuciła kokieteryjnie swoimi złotymi lokami, aż przechodzący z naprzeciwka mężczyzna powiódł za nią wzrokiem. — Poza tym nawet nie wiesz, jaki człowiek potrafi być kreatywny w momencie zagrożenia. Pewnie jeszcze nie raz się o tym przekonasz.

Dotarliśmy do przystanku i w tym samym momencie nadjechał nasz tramwaj. Warszawska dziewiątka jak zwykle była wypchana po brzegi. Ludzie tłoczyli się jeden przy drugim, wychylali przez okna, stali na stopniach i buforach. Jazda „na winogrono”, jak zwykle się mawiać. Każdy pragnął przed godziną policyjną dotrzeć do własnego domu.

Wgramoliłyśmy się do środka i zajęłyśmy miejsce tuż przy łańcuchu oddzielającym część polską od niemieckiej. Biała tabliczka z napisem „Nur für Deutsche” kołysała się i skrzypiała w rytm poruszania się tramwaju. Takich samych tabliczek w mieście i poza nim było mnóstwo — i wciąż ich przybywało, w miarę jak Niemcy wymyślali dla nas kolejne obostrzenia. W dzieciństwie nigdy się nie uczyłam niemieckiego, lecz w ciągu ostatnich trzech lat musiałam przynajmniej załapać podstawy, podobnie jak tysiące stłamszonych przez okupację Warszawiaków.

Po niemieckiej stronie panowały niesamowity spokój i cisza. Siedziały tam tylko dwie osoby — mężczyzna w brązowym płaszczu, ze skórzaną teczką w dłoni, oraz starsza kobieta w wielkiej, futrzanej czapie na głowie. Z zacięciem obserwowałam, jak odbywają swoją zwykłą, codzienną podróż po mieście, podczas gdy po drugiej stronie łańcucha jazda przypominała walkę o przetrwanie. Pasażerowie, stłoczeni niczym sardynki w puszcze, deptali sobie po nogach, popychali i fukali na siebie ze złością. Nie wiem,

co było gorsze — to czy spacer ulicami Warszawy i ryzyko, że zgarną cię gdzieś w łapance.

Przejechaliśmy przez Ujazdów, minęliśmy ustawioną przy głównej arterii szubienicę, której pilnował znudzony niemiecki żandarm. Martwe oczy wisielców zdawały się śledzić przechodniów. Każdy wiedział, że umieszczono ich tam specjalnie — jako przestrogę dla tych, którzy sprzeciwiają się panującym niemieckim porządkom. Przekroczyliśmy Aleje i w końcu dotarliśmy do Nowego Świata. Tuż przed Krakowskim Przedmieściem tramwaj się zatrzymał. Ludzie gromadą wytoczyli się na zewnątrz niczym wielka fala zalewająca ulicę. Dalej pojazd odjechał praktycznie pusty.

— Uch, ale jazda... — sapnęła Basia, poprawiając loki.

— Przynajmniej bilety nie są drogie.

— Hej, tak mi się teraz przypomniało, ładny ten twój pseudonim. „Stokrotka”, pasuje ci. I „Krukowi” chyba też się podobało.

Przed oczami stanęła mi poważna twarz porucznika, okraszona słabym uśmiechem, kiedy usłyszał, jaki pseudonim sobie wybrałam.

— Może dobrze mu się kojarzył. Z jakąś dawną miłością z czasów szkolnych, której przynosił bukiet stokrotek po lekcjach.

— Zakochany porucznik „Kruk”... — Basia wzdrygnęła się i obie zachichotałyśmy. Po chwili zapytała: — Dlaczego właściwie „Stokrotka”? To twój ulubiony kwiat?

— Hmm, pamiętasz Antka Wojciechowskiego? Opowiadałam ci o nim.

— Tego twojego chłopaka?

Serce mi zadrżało na wspomnienie mojej pierwszej miłości. Antka znałam jeszcze ze szkoły. Kochaliśmy się. Pewnie gdyby nie wojna, teraz byłibyśmy już małżeństwem.

— Antek tak o mnie mówił. Nazywał mnie swoją storkotką.

— Ładnie — szepnęła Basia, wyczuwając moje przygnębienie.

Antek zginął dokładnie dwudziestego kwietnia 1941 roku. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj.

\*

Po długiej zimie — śnieg padał jeszcze na początku kwietnia — kiedy wreszcie nadeszła wiosna, ja i Antek umówiliśmy się na pierwszy w tamtym roku spacer. Mieliśmy się spotkać przy Moście Poniatowskiego, przejść wzdłuż wybrzeża, a na koniec posiedzieć jeszcze trochę nad Wisłą. Dotarłam na miejsce o umówionej porze. Antek już na mnie czekał. Miał na sobie tę swoją brązową kurtkę — moją ulubioną, wieczorami często mi ją pożyczał. Dostrzegł mnie i od razu się uśmiechnął. Pamiętam jego uśmiech. Potrafił rozświecić mi dzień niczym ciepły, letni poranek.

Nagle ze wszystkich stron nadjechały ciężarówki. Ulica w mgnieniu oka zarojła się od żołnierzy w szarych mundurach, z karabinami wymierzonymi w niczego nieświadomych przechodniów.

— Niemcy! — krzyknął ktoś z zebranych i wszyscy rozpierchli się na boki.

Chciałam biec do Antka, lecz przerażony tłum napierał w przeciwną stronę i nie pozwalał mi się do niego przedostać. Jakaś kobieta złapała mnie za ramię. Coś do mnie krzyczała, ale nie słyszałam ani jednego słowa. Mimo protestów wepchnęła mnie do bramy, którą natychmiast zamknięto. Przez małe okienko w drzwiach widziałam jeszcze, jak Antek usiłuje biec w moją stronę, jednak Niemcy